



# BAL SZALONYCH Kobiet

Porywająca literacka podróż  
do czasów, w których  
każdą kobietę można było  
uznać za obłąkaną

VICTORIA  
MAS



VICTORIA MAS

BAL  
SZALONYCH  
Kobiet

PRZEŁOŻYŁA Z FRANCUSKIEGO  
BOŻENA SĘK



TYTUŁ ORYGINAŁU:

*Le Bal des folles*

Redaktorki prowadzące: Ewelina Kapelewska, Marta Budnik

Wydawczyni: Justyna Żebrowska

Redakcja: Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta: Małgorzata Lach

Projekt okładki: Paweł Panczakiewicz

Zdjęcie na okładce: © luoman / iStockphoto.com

DTP: Maciej Grycz

Copyright © Editions Albin Michel – Paris 2019

Copyright © 2021 for the Polish edition by Mova  
an imprint of Wydawnictwo KobiECE Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation by Bożena Sęk, 2021

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2021

ISBN 978-83-66967-42-7



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

[www.facebook.com/wydawnictwo.mova](https://www.facebook.com/wydawnictwo.mova)



[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

Wydawnictwo KobiECE

E-mail: [redakcja@wydawnictwokobiece.pl](mailto:redakcja@wydawnictwokobiece.pl)

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

# 1

## GENEVIÈVE

3 MARCA 1885

– Louise, już pora.

Jedną ręką Geneviève ściąga przykrycie, pod którym skulona młodociana śpi na wąskim materacu. Jej gęste ciemne włosy zasłaniają poduszkę i część twarzy. Z rozchylonymi ustami Louise pochrapuje cichutko. Nie słyszy w sali innych kobiet, które już wstały. Między rzędami żelaznych łóżek kobiece postacie się przeciągają, związują włosy w koczek na karku, zapinają hebanowoczarne suknie na przezroczystych koszulach nocnych, następnie miarowym krokiem kierują się do jadalni pod czujnym okiem pielęgniarek. Przez zaporowane szyby sączą się nieśmiałe promienie słońca.

Louise zawsze wstaje ostatnia. Co rano budzi ją ktoś z personelu albo któraś z pacjentek. Dziewczyna z ulgą wita każdy zmierzch i zapada w sen tak głęboki, że o niczym nie

śni. W sen, dzięki któremu nie musi się martwić tym, co się stało, ani przejmować tym, co dopiero przyjdzie. W sen przynoszący jedyne chwile wytchnienia od wydarzeń sprzed trzech lat, które ją tutaj przywiodły.

– Wstawaj, Louise. Czekają na ciebie.

Geneviève potrząsa dziewczynę za ramię i w końcu Louise uchyla jedną powiekę. Najpierw się dziwi na widok tej, którą chore psychicznie przezywają Stara, czekającej przy jej łóżku, potem woła:

– Mam wykład!

– Przygotuj się, dość się napałaś.

– Tak!

Dziewczyna obunóż zeskakuje z łóżka i porywa z krzesła suknię z czarnej wełny. Geneviève ją obserwuje, odstąpiwszy o krok. Przygląda się pospiesznym ruchom, niepewnemu potrząsaniu głową, słucha szybkiego oddechu. Wczoraj Louise znowu miała atak. Nie ma mowy, żeby dostała kolejnego przed dzisiejszym wykładem.

Dziewczyna czym prędzej zapina guziki pod szyją i odwraca się do siostry oddziałowej. Zawsze wyprostowana, w białej służbowej sukni, z jasnymi włosami spiętymi w kok, Geneviève ją onieśmiela. Z czasem Louise nauczyła się dopasowywać do sztywności pielęgniarki. Nie można jej zarzucić, że jest niesprawiedliwa albo nieżyczliwa. Po prostu nie wzbudza sympatii.

– Może tak być, pani Geneviève?

– Rozpuść włosy. Pan doktor tak woli.

Louise podnosi pulchne ręce do spiętego w pośpiechu koka i wykonuje polecenie. Jest ciągle młodziutka, choć wołałaby, aby było inaczej. W wieku szesnastu lat ma w sobie dziecięcy entuzjazm. Jej ciało zbyt szybko dorosło. Liczyła czternaście lat, gdy wykształciły się jej piersi i biodra, lecz nie była świadoma tej spadłej z nagła zmysłowości. Z jej oczu zniknęła już część niewinności, ale nie do końca. Dzięki temu można jeszcze liczyć, że czeka ją coś lepszego.

– Mam trewę.

– Pozwól sobą kierować i wszystko pójdzie dobrze.

– Tak.

Idą we dwie szpitalnym korytarzem. Światło marcowego poranka wpada przez okna i odbija się na posadzce – światło zapowiadające wiosnę i bal w śródpόściu, światło, które pobudza do uśmiechu i pozwala mieć nadzieję, że szybko się stąd wyjdzie.

Geneviève wyczuwa, że Louise jest zdenerwowana. Dziewczyna idzie ze spuszczoną głową, z rękami zwieszonymi wzdłuż ciała, z przyspieszonym oddechem. Pacjentki zawsze się boją spotkania z samym Charcotem, zwłaszcza kiedy wyznaczono je do uczestnictwa w seansie. Taka odpowiedzialność je przerasta, wystawianie na pokaz przeraża, zainteresowanie innych jest tak obce tym kobietom, których życie nigdy nie stawiało w pierwszym rzędzie, że przez to aż tracą grunt pod nogami – znowu.

Kilka korytarzy i zamykających się samoczynnie drzwi dalej wchodzi do pokoiku przylegającego do auli. Czeką w niej garstka lekarzy i studentów medycyny. Z notatnikami i piórami w dłoni, z wąsami łaskoczącymi górną wargę, wyprostowani w czarnych tużurkach i białych kitlach, obracają się jak jeden mąż do dzisiejszego obiektu badań. Ich lekarskie oczy badawczo się wpatrują w Louise: zdają się widzieć ją przez suknię. Pod naporem wzroku podglądaczy dziewczyna w końcu opuszcza powieki.

Zna tutaj tylko jedną twarz: Babińskiego, asystenta doktora, który podchodzi do Geneviève.

– Sala zaraz się zapełni. Zaczniemy za dziesięć minut.

– Potrzebuje pan dla Louise czegoś szczególnego?

Babiński mierzy chorobą wzrokiem z góry na dół.

– Tak będzie dobrze.

Geneviève kiwa głową i zbiera się do odejścia. Louise lękliwie cofa się o krok.

– Przyjdzie pani po mnie, prawda?

– Jak zawsze, Louise.

Ukryta za kulisami Geneviève obserwuje aulę. Z drewnianych ław podnoszą się poważne głosy, wypełniając pomieszczenie, które mniej przypomina szpitalną salę, a bardziej muzeum czy wręcz gabinet osobliwości. Ściany i sufit pokrywają malowidła i ryciny pokazujące budowę organizmu, ciała, sceny, w których widać anonimowe postacie, nagie lub

odziane, niespokojne bądź zagubione. W sąsiedztwie ław ciężkie szafy trzeszczące ze starości prezentują za przeszklonymi drzwiami wszystko to, co w szpitalu można zostawić na pamiątkę: czaszki, kości piszczelowe, ramienne, miednicy, dziesiątki słoików, kamiennych popiersi i wymieszanych instrumentów. Już samym swoim wystrojem aula obiecuje widzowi przeżycie szczególnych chwil.

Geneviève przygląda się publiczności. Niektóre twarze zna, rozpoznaje lekarzy, pisarzy, dziennikarzy, studentów medycyny, polityków, artystów, każdy jest ciekawy, jedni już się przekonali, inni jeszcze są sceptyczni. Czuje dumę. Dumę, że jeden jedyny człowiek w Paryżu potrafi wzbudzać takie zainteresowanie, iż co tydzień zapełniają się wszystkie ławy w auli. A oto i on wkracza na scenę. Sala milknie. Charcot poważną, tęgą posturą wzbudza respekt publiczności patrzącej z fascynacją. Jego pociągły profil przywodzi na myśl elegancję pełnych godności greckich posągów. Ma przenikliwe, nieodgadnione spojrzenie lekarza, który od lat sięgając do najgłębszych warstw jestestwa, bada przypadki kobiet odrzuconych przez rodzinę i społeczeństwo. Wie, jakie rozpala nadzieje w chorych umysłowo. Wie, że cały Paryż zna jego nazwisko. Dano mu władzę, którą sprawuje teraz z całym przekonaniem, że otrzymał ją z jednego powodu: jego talent przyczyni się do postępu w medycynie.

– Witam szanownych panów. Dziękuję za przybycie. Na dzisiejszym wykładzie zademonstruję hipnozę na pacjentce będącej ciężkim przypadkiem hysterii. Pacjentka ma



szesnaście lat. Od trzech lat przebywa w Salpêtrière i w tym czasie odnotowaliśmy u niej ponad dwieście napadów hysterii. Wprowadzenie jej w stan hipnozy pozwoli nam odtworzyć te napady i zbadać ich objawy. Za pośrednictwem zaś objawów dowiemy się więcej o fizjologii hysterii. Dzięki pacjentkom takim jak Louise dokonuje się postęp w medycynie i nauce.

Geneviève uśmiecha się lekko. Ilekroć widzi wystąpienie Charcota przed słuchaczami spragnionymi demonstracji, wspomina jego początki na oddziale. Patrzyła na niego, gdy badał, notował, leczył, szukał, odkrywał to, czego nikt nie odkrył przed nim, gdy myślał tak, jak dotąd nikt jeszcze nie myślał. Charcot jest istnym uosobieniem medyny w całej rozciągłości, prawdzie, użyteczności. Po cóż wielbić bogów, skoro istnieją ludzie tacy jak Charcot? Nie, to niewłaściwe sformułowanie: nie ma drugiego takiego jak Charcot. Geneviève jest dumna, tak, dumna, i czuje się uprzywilejowana, że od blisko dwudziestu lat ona również ma swój wkład w pracę i postępy najsłynniejszego neurologa w Paryżu.

Babiński wprowadza Louise na scenę. Jeszcze dziesięć minut wcześniej ogarnięta treścią, teraz dziewczyna jest wyraźnie odmieniona: z ramionami odciągniętymi do tyłu, wypiętą piersią i podbródkiem w górze podchodzi bliżej publiczności, która czeka tylko na nią. Już się nie boi: to jej chwila sławy i uznania. Dla niej i dla mistrza.

Geneviève zna każdy etap rytuału. Najpierw kołysanie wahadłkiem przed twarzą Louise, jej nieruchome błękitne

oczy, rozbrzmiewający raz kamerton – i dziewczyna, już w letargu, leci do tyłu, ale zręcznie łapią ją dwaj stażyści. Później Louise z zamkniętymi oczami poddaje się każdemu poleceniu, na początek wykonując proste gesty: podnosi rękę, obraca się wokół własnej osi, zgina nogę jak posłuszny żołnierz. Dalej przybiera różne pozy, zależnie od żądań: składa dłonie jak do modlitwy, podnosi głowę, błagalnie wpatrując się w niebo, naśladuje ukrzyżowanie. Stopniowo to, co na pozór miało być zwykłym pokazem hipnozy, przeradza się w wielki spektakl – Charcot zapowiada „fazę zamasztych ruchów”. Teraz Louise leży na ziemi, nikt już nie wydaje jej poleceń. Sama się porusza, zgina rękę, nogi, rzuca się z lewa na prawo, przewraca na plecy, na brzuch, kończyny jej sztywnieją, aż nie może nawet drgnąć, wykrzywia się w rozmaitych grymasach, od bólu po rozkosz, chrapliwy oddech podkreśla wygibasy. Ktoś trochę przesądny mógłby sądzić, że ma do czynienia z opętaniem przez diabła, zresztą wśród publiczności ten i ów czyni ukradkiem znak krzyża... W ostatniej konwulsji Louise obraca się na plecy, bosa stopy i głowa opierają się na ziemi, a reszta ciała od kolan po szyję wygina się w łuk. Ciemne włosy zamiatają kurz na scenie, plecy w kształcie odwróconego U trzeszczą z wysiłku. I wreszcie na zakończenie wymuszonego napadu histerii dziewczyna osuwa się z głuchym łoskotem na oczach oniemiałych widzów.

Dzięki pacjentkom takim jak Louise dokonuje się postęp w medycynie i nauce.

Poza murami Salpêtrière, w salonach i kawiarniach, ludzie snują przypuszczenia, jak może wyglądać oddział Charcota zwany „oddziałem histeryczek”. Wyobrażają sobie nagie kobiety biegające po korytarzach, tłukące głową o posadzkę, rozkładające nogi przed wymagowanym kochankiem, wrzeszczące na całe gardło od świtu do nocy. Opisywane są obłąkane dostające konwulsji w białej pościeli, rozczochrane włosy i wykrzywione twarze, twarze kobiet starych, kobiet otyłych, kobiet brzydkich, kobiet słusznie trzymanyh w odosobnieniu, nawet jeśli nikt nie potrafi wskazać powodu, skoro nikomu nie uchybiły ani nie popełniły żadnej zbrodni. W ludziach, w których wzbudza strach każde dziwaczne zachowanie – czy są zamożnymi mieszczanami, czy proletariuszami – myślenie o obłąkanych z Salpêtrière roznieca pożądanie i karmi lęki. Wariatki ich fascynują i przerażają. Niechybnie mocno by się rozczarowali, gdyby się przeszli po oddziale tego dnia późnym rankiem.

W wielkiej sypialni pacjentki w spokoju oddają się zwykłym czynnościom. Niektóre wycierają szmatą podłogę między metalowymi łózkami i pod nimi; inne myją się rękawicą kąpielową w miednicy z zimną wodą; kilka nieludzko zmęczonych leży w łóżku, nie życząc sobie rozmawiać z nikim; część kobiet szcnotkuje włosy, mówi do siebie po cichu, wygląda przez okno na zalany światłem park, w którym ostały się jeszcze łachy śniegu. Są w najróżniejszym wieku, od trzynastu do sześćdziesięciu pięciu lat, brunetki, blondynki i rude, szczupłe i tęgie, ubrane i uczesane jak

w mieście, wstydlive w obejściu. Sypialnia, w której daleko do zepsutej atmosfery, jaką wyobrażają sobie ludzie za murami, przypomina bardziej zakład leczniczy u wód niż skrzydło szpitala przeznaczone dla histeryczek. Dopiero przy bliższym przyjrzeniu się kobietom pojawia się niepokój: widać a to zaciśniętą wykrzywioną dłoń, a to skurczone ramię przyciągnięte do piersi, a to powieki otwierające się i opadające w rytmie motyli skrzydeł albo znów jedną zamkniętą, tak że tylko jedno oko spogląda na widza. Zabronione tu jest używanie kamertonu i instrumentów dętych, których dźwięk w jednej chwili wprawia niektóre pacjentki w głęboką katalepsję. Jedna bez ustanku ziewa, druga wykonuje niekontrolowane ruchy; można tu ujrzeć wzrok przybity, nieobecny lub świadczący o najgłębszej melancholii. Od czasu do czasu również osławiony napad histeryczny wstrząsa sypialnią, w której chwilowo panował spokój: kobiece ciało na łóżku lub na podłodze zaczyna się wyginać, kulić, walczyć z niewidzialną siłą, szamotać się, napinać, wić, bezskutecznie próbując uniknąć swojego losu. Wtedy robi się wokół zbiegowisko, stażysta przyciska dwa palce do ciała na wysokości jajników, co w końcu uspokaja wariatkę. W najcięższych przypadkach przykładają się chorej szmatkę nasączoną eterem: wtedy powieki opadają i napad mija.

Nie ma tu histeryczek tańczących boso na zimnych korytarzach, dominuje natomiast niemal codzienna walka o normalność.

Przy jednym z łóżek kobiety skupiły się wokół Thérèse i przyglądają się, jak robi na drutach szal. Młoda kobieta z włosami upiętymi w koronę podchodzi do tej, którą przezywają Dziewiarką.

– Ten będzie dla mnie, nie?

– Obiecałam dać go Camille.

– Od tygodni nie mogę się doczekać.

– Valentine, dwa tygodnie nazad żeś dostała szal, ale ci się nie podobał. To teraz se czekaj.

– Ty niedobra!

Młoda kobieta z obrażoną miną odchodzi od grupki. Nie zwraca uwagi na swoją wyginającą się nerwowo prawą dłoń ani na nogę, którą szarpią miarowe konwulsje.

Tymczasem Geneviève wraz ze stażystką pomaga Louise położyć się do łóżka. Dziewczyna, choć osłabiona, znajduje siłę, aby się uśmiechnąć.

– Dobrze wypadłam?

– Jak zwykle, Louise.

– Doktor Charcot jest ze mnie zadowolony?

– Będzie zadowolony, kiedy cię wyleczymy.

– Widziałam, jak wszyscy się na mnie patrzyli... Będę tak znana jak Augustine, prawda?

– Odpocznij teraz.

– Będę drugą Augustine... Cały Paryż będzie o mnie mówił.

Geneviève przykrywa utrudzone ciało dziewczyny, która zasypia z uśmiechem na bladej twarzy.

Noc zapadła nad rue Soufflot. Panteon, miejsce spoczynku wybitnych ludzi, których nazwiska wyryto w grubym kamiennym murze, czuwa z wysokości nad Ogrodem Luksemburskim uśpionym w dole ulicy.

Na szóstym piętrze jednej z kamienic okno jest otwarte. Geneviève wygląda na spokojną ulicę, którą z jej lewej strony ogranicza pomnik poświęcony zmarłym, z prawej zaś usiany posągami park, po którego zielonych alejkach i kwiatnych klombach od rana przechadzają się spacerowicze, zakochani i dzieci.

Wróciwszy pod wieczór z dyżuru, odprawiła swój codzienny rytuał. Najpierw rozpięła biały kitel i machinalnie sprawdziła, czy nie jest gdzieś poplamiony, najczęściej krwią, po czym odwiesiła go do szafki. Następnie załatwiła kwestię toalety we wspólnej łazience, gdzie spotyka czasem inne mieszkanki piętra: matkę i jej piętnastoletnią córkę, obydwie praczki, samotne, od kiedy mąż i ojciec zmarł podczas Komuny Paryskiej. Kiedy znalazła się z powrotem w skromnym mieszkanku, odgrzała zupę, którą cichutko zjadła, siedząc na skraju pojedynczego łóżka przy świetle lampki olejnej. Następnie jak co wieczór podeszła do okna, by powyglądać z dziesięć minut.

Teraz nieruchoma i wyprostowana, jakby nadal miała na sobie obcisły strój służbowy, obserwuje z góry ulicę, niewzruszona niczym obserwator na szczycie latarni morskiej. Robi to nie ze względu na światła uliczne ani nie z powodu marzeń – romantyzmu w sobie nie ma – wykorzystuje

**Sięgnij po więcej!**



 [www.mova.com.pl](http://www.mova.com.pl)

 [facebook.com/wydawnictwo.mova](https://facebook.com/wydawnictwo.mova)

 [instagram.com/wydawnictwomova](https://instagram.com/wydawnictwomova)